PRZEGLĄD SŁOWIAŃSKI.

Dwutygodnik poświęcony wzajemności słowiańskiéj, a mianowicie sprawom polskim, czeskim i ruskim.

Spólna moc tylko zdoła nas ocalić.
A. Mickiewicz.

Nr. 12. **Poznań, dnia 11 Czerwca 1881.** Rok I.

Wiec Słowiański w Poznaniu.

Dzień 2 Czerwca 1881 r. będzie pamiętnym dla Poznania, tego starosłowiańskiego grodu, w którym podług starożytnego podania trzéj słowiańscy praojcowie Lech, Czech i Rus poznać się mieli, gdyż w tym dniu odbył się u nas pierwszy, rzéc można wiec słowiański. Nazwa urzędowa była wprawdzie: wiec polski i katolicki, jednakżeż w istocie był to wiec słowiański, gdyż najgłówniejsze przemówienia tyczyły się przeważnie wielkiéj sprawy połączenia Słowian.

Głównym mówcą był X. Kantecki, który przemawiał z prawdziwém natchnieniem nietylko jako Polak i katolik, ale także jako Słowianin. Zaznaczamy to stanowisko, gdyż u nas niebezpiecznie było dotąd, aby Polak występował także jako Słowianin, bo w takim razie można się było łatwo narazić na przydomek: zaprzedanego Moskwie. Mamy nadzieję, że odtąd, gdy sprawa słowiańska przyszła pod obrady blizko tysiącznéj publiczności, a nikt nie posądził X. Kanteckiego o sprzyjanie Moskwie, choć przemawiał i zachęcał gorąco do wzajemności słowiańskiéj, będzie można przemawiać otwarcie w duchu jedności słowiańskiéj bez obawy posądzenia o przeniewierstwo dla sprawy narodowéj.

Nie rozpisujemy się o treści przemówień, gdyż podały to już inne pisma bardzo obszernie, zatem dla szczupłości miejsca ograniczamy się tylko na kilku uwagach. Wiec w Poznaniu na 2 Czerwca był głównie w tym celu zwołanym, aby uchwalić adres do Ojca ś. z podziękowaniem za rozszerzenie czci śś. Cyryla i Metodego, apostołów Słowian, na cały świat katolicki, oraz aby zachęcić do jak najliczniejszego udziału w pielgrzymce słowiańskiéj do Rzymu na dzień 5 Lipca 1881 r. W téj myśli przemawiał X. Kantecki, a wywiązał się ze swego zadania po mistrzowsku. Nie możemy się powstrzymać, aby choć dwóch ustępów tego istotnie pięknego przemówienia nie przytoczyć. Otóż owe ustępy:

„Chrystus nauczył nas, że wszyscy ludzie są braćmi a co prawdą jest w obec jednostki, prawdą także jest w obec ludów i narodów. Jak mimo to jednakże pomiędzy jednostkami bliższymi siebie są ci, których łączy jedność krwi i rodu, tak téż w gronie ludów wszechświata bliższe siebie są te, które węzły szczepowego pokrewieństwa łączą lub przynajmniéj łączyć ze sobą powinny w jednę wielką wspólną rodzinę. Poszczególne ludy słowiańskie posiadają wielkie i cenne przymioty: cześć dla wiary ojców, przywiązanie do ziemi rodzinnéj i do gleby własnéj, zamiłowanie ojczystych zwyczajów, obyczajów i tradycyi narodowych, podanie z zamierzchłych dziejów Słowiańszczyzny każdego Słowianina poruszy do głębi, pieśń słowiańska rozrzewni i w smętną wprawi zadumę, ale czego nie ma w pośród nas — oto świadomego poczucia téj łączności rodzinnéj, szczepowéj.

Takie poczucie ma niepospolitą doniosłość i silną dla ludów jednoplemiennych jest dźwignią tak pod względem warunków społecznego żywota, jako téż pod względem idealnych celów i posłannictwa, jakie każdy naród, każdy szczep spełnić powinien. Kiedy starożytna Helada jednomyślnie i wspólnemi siły stawiała wrogom czoło pod Salaminą, Termopylami, Plateą i Maratonem, pierzchły azyatyckie hordy Kserksesów, a Grecya rozwijała się szybko, zdążając do szczytu potęgi. Ale kiedy znikło poczucie jedności, kiedy Ateńczyk uderzył na Tebana, Lacedemon na Ateny, kiedy szczepowa waśń zamieniła się w bratobójczą walkę, potężna niegdyś Grecya wprzęgła się sama w rydwan chytrego zwycięzcy.

Gdyby się była urzeczywistniła wielka myśl Chrobrego i Lech, Rus i Czech złączyli się w jedno grono zjednoczonych ludów, gdyby na południowschodzie Kocel Rasticz lub Borys był zdołał natchnąć uczuciem jedności Serbów, Bulgarów, Chorwatów i Słowaków, bylibyśmy uniknęli morza goryczy i upokorzeń, jarzma niewoli i ucisku i Słowiańszczyzna jako jedna sfederowana rodzina, jedną ożywiona myślą, zgodna wewnątrz, silna na zewnątrz, byłaby o wieki całe zbliżyła się do spełnienia swego zadania i posłannictwa.“

„Słowiańszczyzna południa i zachodu zrozumiała, co jéj czynić wypada. W chwili, kiedy panslawiści petersburgscy zaczynają ponownie ze zwiększoną gwałtownością szerzyć przewrotne i ciasne idee swoje, odzywa się na zachodzie południu okrzyk: *Pójdźmy do Rzymu!* O tak, rodacy, ten okrzyk i u nas odbrzmiewa od Bałtyku do ostatnich kończyn naszéj dzielnicy, od zachodniéj granicy aż na daleki wschód wszędzie dźwięczy to hasło: *Pójdźmy do Rzymu!*

Jest to głos wspólny całéj Słowiańszczyzny, która pragnie przyszłości i która ma przyszłość przed sobą, bo ta pielgrzymka będzie dla nas pod względem religijnym zarówno jak i narodowym niezmiernéj doniosłości, mamy nadzieję, że wspolna modlitwa na grobach męczenników wyjedna nam wspólnośc wiary dla wszystkich ludów słowiańskich, złączy oddzielonych braci jak ich łączyła za czasów Cyryla i Metodego a późniéj da Bóg i jedność polityczną sprowadzi.

Kiedyś w początkach chrześciańskiéj ery, kiedy zbawienie przyszło ze wschodu, ale go ludzkość przyjąć nie była zdolna, bo się przeżyła i zużyła, bo cały ówczesny świat społeczny z fugów się rozchodzić zaczął, zbudził Bóg na wschodzie świata nowe plemiona, które podążyły na zachód i nadały inny bieg wypadkom dziejowym. — I dziś zachód pod niejednym względem te same wskazuje obawy. Kto wie, czy Bóg w mądrości swéj niezbadany przez usta papieża Leona XIII nie dał hasła do zwrotu w dziejach chylącego się ku schyłkowi drugiego lat tysiąca! Kto wie, czy nie nadeszła chwila, że *ludy słowiańskie za tyle cierpień i niedoli nie dostąpią téj łaski, ażeby się świat przez nie odrodził na chwałę Bogu na wysokościach a na pożytek ludziom dobréj woli.*“

X. Kantecki podał także statystykę Słowian, których naliczył 85 milionów. Rosyan zaliczył do Słowian. Zwracamy na to uwagę tych, którzy przy każdéj sposobności dowodzą, że Moskale nie Słowianie. Polaków naliczył X. K. tylko 12 mil., a nie 20, jak to powszechnie nasi publicyści, poeci itd. głoszą. Jestto ważna sprawa, gdyż 12 milionów a 20 jest wielka różnica. Na tych 20 milionach się opierając, postanowiono 1846 r. wywołać powstanie.

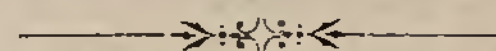
Przemówienie X. Kanteckiego jest zarazem dowodem, jak u nas mało jest rozpowszechnioną znajomość spraw słowiańskich. Szanowny mówca twierdził stanowczo, że Słowianie na zjeździe słowiańskim 1848 r. w Pradze porozumiewali się po niemiecku. Jestto zupełnie mylne twierdzenie. Przecież żyją jeszcze uczestnicy tego zjazdu, np. Stalmach w Cieszynie, można ich zatem o to zapytać. Niemcy wprawdzie piszą wszędzie, że tak było, aleć czego Niemcy o Słowianach nie popisali.

Popełnił także X. K. rażący błąd, zaliczając węgierskich Słowaków w liczbie 2,230,000 do Słowian południowo-zachodnich, gdy tymczasem jeograficznie nawet się Słowacy z niemi nie stykają, a język Słowaków jest przecież tylko narzeczem czeskiego. Szafarzyk, sam Słowak, pisze wyraźnie: „Oboje nařeči wiže až posawad od pradawni doby jeden a tyž spisowni čili literarni jazyk.“ Narzecze słowackie różni się mniéj więcéj, tak jak kaszubskie od polskiego. Zachodzi atoli ta ważna okoliczność, że Słowacy nigdy politycznie nie byli złączeni z Czechami. Dopiero w ostatnich czasach zaczynają Słowacy wydawać książki w narzeczu słowackiém. Słowacy zaliczają się zawsze do Czecho-Słowian.

Nie mozna zaprzeczyć, że X. K. nazbierał zasób gruntownych wiadomości o Słowiańszczyznie, mimo to jednak mimowoli dopuścił się takich błędów. Cóż dopiero sądzić o naszéj inteligencyi? Na palcach można policzyć tych Polaków, którzy nie już gruntownie, ale jako tako znają sprawy słowiańskie. Ubolewał już nad tem X. Koźmian w rozprawie: „Dwa ideały i dwa bałwochwalstwa.“ Dla téj to nieznajomości sprawa Słowiańska nie może zapuścić trwałych korzeni w naszem społeczeństwie, może teraz będzie lepiéj.

Mowa X. Kanteckiego wywołała powszechny zapał, co się objawiło licznemi oznakami zadowolenia.

Podajemy zarazem adres do Ojca ś., jako dokument urzędowy, stwierdzający, że i my Polacy uważamy się za Słowian, i że nie chcemy występować przed Ojcem ś. wyłącznie jako Polacy, ale zarazem jako Słowianie.



Adres do Ojca ś.

uchwalony w Poznaniu, na wiecu d. 2 Czerwca 1881.

Ojcze święty!

Kiedyśmy przed czterema laty w poważnéj liczbie 600 mężów z wszystkich dzielnic Polski przybyli do wiecznego miasta, aby w półwiekowy jubileusz biskupstwa Twego wielkiego poprzednika złożyć u stóp stolicy Piotrowéj nowy dowód naszej synowskiéj miłości i wyrazić wdzięczność za tylokrotne dobrodziejstwa, jakie śp. Pius IX świadczył Kościołowi i narodowi polskiemu, nie brakło wówczas w Rzymie i innych Słowian, spieszących wraz z wysłańcami całego świata na tę niezwykłą w Kościele katolickim uroczystość.

Wówczas zbliżaliśmy się jednak do tronu rzymskiego Papieża pojedyńczo i w odosobnieniu; szli-

śmy jako Polacy, Rusini Czesi i Chorwaci, nie zaś jako jedna wielka rodzina słowiańska, zajmująca tak ważne w gronie ludów europejskich stanowisko.

Dopiero wielkie Twoje i potężne słowo, Ojcze św., którém odezwałeś się do całego katolickiego świata, wywyższając uroczystość śś. Apostołów Słowiańszczyzny, Cyryla i Metodego, do godności świętych powszechego Kościoła, wzmogło w nas świadomość jedności szczepowéj i oto stawamy dziś przed tronem Twoim, pospołu z innymi Słowianami, jako synowie téj rzeszy słowiańskiéj, którą Ty, Ojcze św., wspaniałą Encykliką twą podniósł i uwadze świata katolickiego polecił,

W pośród téj rzeszy słowiańskiéj my Polacy, przychodzimy do Ciebie Ojcze św., z ziemi mogił i krzyżów, z ziemi łez i ucisku; przychodzimy, aby się w twardéj doli naszéj ukrzepić u grobu św. Apostołów i polecić opiece i ojcowskiéj troskliwości Twojéj, Najwyższy Pasterzu.

W niewielkiéj liczbie stawamy wśród zastępu słowiańskiéj braci naszéj, bośmy długiemi cierpieniami znękani, bośmy pod względem religijnym i narodowym w dwóch dzielnicach rozszarpanéj Ojczyzny naszéj zarówno prześladowani, bo Prymas Kościoła polskiego aż w Watykanie zniewolony jest szukać schronienia, bo rodakom naszym w téj części Polski, gdzie się rozlegają jęki Unitów i gdzie od dawna wielu biskupów, kapłanów i braci naszych cierpi na wygnaniu, jeszcze i stanąć przed Tobą, Ojcze św., nie wolno.

Mimo to jednakże wszystkich nas ożywia gorąca wiara, któréj Polska przez 10 wieków swego dziejowego istnienia zawsze wierną pozostała, ożywia nas wiara w sprawiedliwość Bożą, zaufanie w Twą ojcowską miłość i przekonanie, że w mądrości i dobroci Twojéj znajdziesz sposób, którym zdołasz niedoli naszéj kres położyć, rany zagoić i pożądany pokój przywrócić, abyśmy nadal podług przepisów religii naszéj, według narodowéj tradycyi, zwyczajów i obyczajów ojców żyć i umierać mogli, bez obawy kary więzienia lub wygnania.

Wierzymy mocno i ufamy, Ojcze św., że Kościół i Ojczyznę naszę otaczać będziesz zawsze tą opieką, któréj nam nigdy nie odmawiała Stolica św. czy to występując w obronie Polski w obec jéj nieprzyjaciół, czy mnożąc nam u Boga zastęp świętych pośredników, czy zdobiąc kardynalską purpurą książąt naszego Kościoła, czy téż wreszcie odzywając się do świata katolickiego, aby nas w utrapieniach naszych wszyscy wierni modłami swemi wspierali.

Téj opieki jakżeż pewnymi być nie mamy i od Ciebie, Ojcze św., który zaledwie wstąpiwszy na Stolicę Piotrową, pocieszyłeś nas zapewnieniem, że Polskę masz w wielkiem sercu Twojém i któryś świeżo w wspaniałéj Encyklice Twojéj dał dowód wielkiéj dla Słowian życzliwości. Wdzięczność nasza, Ojcze św., za te wszystkie dobrodziejstwa nie wygaśnie w sercach naszych.

Schylając též głowy i kolana nasze pod błogosławieństwo Twéj św. ręki, wierzymy i wyznajemy, że to błogosławieństwo Twoje sprowadzi błogosławieństwo Boże na całą Polskę i Słowiańszczyznę, która trwając według rad wiekopomnéj pamięci Piusa IX w cierpliwości, wytrwałości i męztwie, doczeka się zjednoczenia w wierze i tryumfu, jakiego się niegdyś przed tysiącem lat pod opieką papieztwa doczekali święci Apostołowie nasi.“

MARUSIA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA
Grzegorza Kwitki-Osnowianeńki.

Przełożył z ruskiego

Franciszek Ksawery Mroczko.

(Ciąg dalszy.)

Trudno było ukołysać Marusi tęsknicę po odejściu Wasyla.

Niedawno była jeszcze wesoła, jak zorza wiosenna, gadatliwa jak wróbelek, ruchliwa jak jaskółeczka, a teraz nie poznałbyś jéj nawet. Mówić — nie mówi — usiędzie do szycia, czy zrobi kilka ściegów igiełką, czy nitkę wyciągnie, zaduma się głęboko i złoży rączęta; pójdzie pleć do ogrodu, stanie nad grządką i duma, i tak stałaby cały dzień boży nic nie zrobiwszy, gdyby jéj matka nie zawołała.

Nastawi bywało obiad w piec nierozpalony, albo wszystko jéj z garnka wybiegnie, albo się przedymi, że jeść nie można i do tego już doprowadziła, że nic robić nie mogła i stara Naścia sama zaczęła się krzątać i gospodarzyć. Często — gęsto gniewał się ojciec na nią, czasami przemawiał jéj do rozumu, aby nie tęskniła, gdyż tęsknota pozbawi jéj zdrowia, zachoruje i jaki przed Bogiem zda rachunek, że największy skarb — zdrowie straciła, nie umiejąc go szanować.

— Cóż — mój tatusiu i mamusiu moja, odpowiadała Marusia zawsze jednako, — cóż począć, jeżeli nie mogę swojego zapomnieć Wasyła! Świat mi nie miły i nic mnie już nie cieszy. Serce mi się kraje z bólu, patrząc na was, że się tak martwicie dolą moją, ale cóż robić — nie jestem sama rada swojej tęsknocie i zawsze myślę o tem, gdzie mój Wasyl, wiedząc o tem, że co chwila on daléj odemnie, żal serce ściska i dławi tęsknota! Dajcie już spokój, nie potrzebujecie się martwić, ale mi zawsze lżéj i mniéj tęskniej, jeżeli mogę o swoim myśleć Wasylu.

Starzy nieraz radzili się razem co z nią począć, ale ostatecznie dali jéj pokój. Niech robi co się jéj podoba! ona dobra i bogobojna dziewczyna

miejmy nadzieję, że jéj Bóg nie opuści. wszak ją obdarzył rozumem. Niechaj robi co się jéj podoba i co uzna za stósowne.

Od onego dnia, kiedy odprowadziła swojego Wasyla, nakryła głowę chustką czarną, nie przypięła do włosów żadnéj wstążeczki — czarna chustka i basta! Bywało, chodziła ochoczo w święta i niedziele do cerkwi, a teraz skoro dzwon usłyszy i w dzień powszedni idzie na modlitwę. Codziennie chodziła na swoje ulubione miejsce do lasu na j e z i o r a, gdzie po raz pierwszy była z Wasylem, usiądzie pod sosną, rozłoży chusteczkę, patrzy na orzeszki, przerzuca z jednéj ręki do drugiéj i zapłacze... Jak tylko zmrok zacznie zapadać, już siedzi na przyzbie wieczornéj, wyglądając gwiazdki, a gdy zabłyśnie, zaraz się rozweseli, jak nigdy.

— Oto mój Wasyl! mówi do siebie... on patrzy gdzieś na swoję gwiazdeczkę, wiedząc o tém, że i ja patrzę... Tak nieraz jego błyszczały oczęta, kiedym na jego wybiegała spotkanie...

I chociaż byś ją wtedy nie wiedzieć jak wołał, nie ruszy się z miejsca tak długo, dopóki sama gwiazdeczka nie zajdzie — wtedy wzdychając głęboko, mawia: Bywajże mi zdrów mój Wasylku! nocuj z Bogiem i wracaj rychło do swojéj biednéj Marusi.

Wszedłszy do chaty, rozwiąże chusteczkę, pocałuje każdy orzeszek, zbierze, położy na swoim serdeńku i nieraz bywało, prześpi z nimi noc całą... ale czy kiedy dobrze spała, o tém ani mowy.

W takiéj tęsknicy i troskach takich dopchała Marusia taczkę żywota do Spasówki, a około Matki Bożéj, obiecał Wasyl powrócić pewnikiem. Chociaż nie zupełnie, rozweseliła się Marusia, ale jako tako zaczęła się ożywiać.

Krzątała się w domu, czy to gromadzić, czy żąć, pomagała w polu rodzicom i nieraz Naum stary patrząc na nią, sam się rozweselił, myśląc: Chwała Ci Panie! już Spasówka, Marusia moja weselsza, jak gdyby dopiero się na świat boży narodziła; niebawem nadjedzie Wasyl i biedzie na przekor, sprawię czemprędzej wesele, niechaj sobie żyją szczęśliwie. Idąc do gospodarki, zabrał nieraz dońkę z sobą, a gdy sama czasem została w domu, pokręciwszy się trochę, idzie do lasu na grzyby, co dzień robiła się weselsza, ruchliwsza i nieraz sobie układała: już Preczysta niedaleko, a Wasyla co widać.

Raz po Spasówce wydała obiad, pokrzątała się, zrobiła co potrzeba i poszła do lasu na grzyby — już oczywista, nie gdzie indziéj, jak na j e z i o r a. Znalazła bardzo wiele rydzów, a tak były piękne, że nie żal było zbierać. I nazbierała ich dużo, brodząc po wodzie, pełne wiadro i koszyk pełniuteńki.

Byłaby jeszcze dłużéj zbierała, ale lunął deszcz gwałtowny z chłodnym wiatrem, a ona była ubrana w cieniutką jubkę, bez świty. Cóż jéj począć? nigdzie się nie ma schronić, gdyż do wsi daleko, a tu leje jak z cebra.

Trzeba było iść do domu.

Biegła biedaczka, ale się zmęczyła, zmokła do nitki i zmaczała tak, że ząb za ząb skacze. Ledwie doszła do domu, a macierz stara, nie mogła się podnieść z łoża i w piecu napalić.

Bieda niebodze; przemokła do nitki, nie ma się gdzie osuszyć, ani zagrzać. Położyła się za piecem nie opalonym, zmarzła jeszcze więcéj, przykryła się kożuchem — ale nic nie pomaga — ciarki biegają po skórze.

Przyszedł stary Naum ze sługami, a tu nie ma mu komu ani ugotować, ani podać. Nieraz bywało, się rozgniewa, ale teraz wysłuchawszy co mu Naścia opowiedziała, nic nie mówił, popatrzał na Marusię, przestraszył się i powiedział: Niech się Twoja stanie wola Panie! gorąca biedna, jak ogień i trzęsie się jak ryba.

Smutno mu się zrobiło, podumał i zaczął odmawiać modlitwę, a taka już jego była natura, że modlił się zawsze czy w radości czy w złej doli. Pomodliwszy się, przeżegnał trzy razy Marusię, ułożył się do snu, słucha, czy Marusia zasnęła — daj Boże, aby zasnęła — powiedział — i aby już jutro wyzdrowiała. Z taką modlitwą na ustach, zasnął stary Naum.

W głuchą północ, budzi go Naścia mówiąc: Popatrzno, co tam się dzieje z Marusią? stęka i stęka coraz mocniéj, a nawet krzyczy.

Naum zerwał się rychło i zapytał:

— Co tobie Marusiu! czego stękasz, co ciebie boli?

— Tatusiu... ratujcie!... nie dajcie... mi zginąć... kole... ach... jak mi ciężko... róbcie co... umiecie... ko... kole... mnie...

— Gdzież ciebie kole Marusieńsko?

— Tu... tu... w lewym boku... róbcie co, nie wytrzymam...

Naum wykrzesał ognia, zaświecił, wstała Naścia, a Marusia stęka coraz więcéj.

Nie wiedzą sami co robić, zapalili we dwójkę w piecu, ponakrywali ją kożuchami, ale Marusia coraz bardziej krzyczała: duszno mi bardzo!... nie wyleżę na piecu,... weźcie mnie na ławę... ciężko mi bardzo... bok mię boli... ach boli...

Posłali na ławie i zaczęli ją zdejmować z pieca — ona iść nie może... starzy nie mogą jej zdjąć.. ciągną ile sił starczy... Naum się gniewa, krzyczy na żonę, że mu nie pomaga, matka burczy na niego, że na nią ciężar zwala... Marusia stęka, płacze, a starzy patrzą na nią, także sobie płaczą. Z wielkim trudem ledwie donieśli Marusię na ławę, nakryli prześcieradłem, gdyż mówiła, że jéj gorąco, a sami zaczęli radzić, co jej zrobić. Naścia doradzała, aby iść czemprędzéj do znachorki, aby ją u m y ł a, albo z l i z a ł a, gdyż ta choroba najprawdopodobniej powstała z oczu — albo niechaj jej febrę odmówi, zresztą niech z nią robi co się jéj podoba i co tylko umie. Naum jednak nie dał sobie o tém mówić, gdyż nie lubił ani znachorek, ani czarownic, które okpiewają głupich, wyłudzając pieniądze i nic nie pomogą, chyba zaszkodzą. Wyjął jordańską wodę i kazał Naści, aby Marusi nią bok natarła, podkadzał ją cheruwymskym i wełykodnym ładanom,*) pomodlił się z Naścią..., a Marusia zaczęła zasypiać. Już chcieli starzy oszołomieni gasić, aż tu Marusia znowu krzyczeć zaczęła: Ach! matusiu, kole mnie w boku... trudno mi od-

*) Wielkanocne kadzidło.

dychać! Tatusiu mój ridneńki! matusiu moja! ratujcie... śmierć... moja.. nie mogę oddychać...

Widzi Naum, że to nie żarty, chwyta czapkę, idzie do sąsiadki, prosząc, aby poszła do Naści pomagać przy choréj.

Nim zaszedł i zanim ją do siebie przyprowadził, aż tu już świtać zaczęło. Nie wstępując do chaty, poszedł do miasta, gdzie mieszkał jego dobry znajomy, przyjaciel cyrulik, do którego poszedł prosić o radę i jeżeli można, aby poszedł odwiedzić i oglądnąć chorą.

Ale gdzież to staremu iść prędko, idzie i uważa, że zawsze na jednym stoi miejscu, a jeżeli kroku przyśpieszy, zadysze się, nogi się plączą, ledwie nie upadnie. Naum żałuje, że nie zbudził którego z parobków śpiących w słomie na toku, ale cóż z tego, chociażby nawet i rychléj doszedł, nie umiałby wszystkiego opowiedzieć, jak należy, a jeżeliby cyrulik iść nie chciał, nie umiałby tak prosić, jak sam ojciec.

Już weszło słoneczko, a wtedy dopiero przywlókł się stary Naum do cyrulika. Nie rychło go zbudził, a był on sobie już zamożny, zaczął już w pańskim chodzić kaftanie, to téż trzeba było spać po pańsku. Nim mu samowar nastawili, zanim wypalił fajeczkę, zanim się wyciągnął i wyszedł do Nauma, już słoneczko podniosło się wysoko. I to wielką było łaską, że się wypytał o chorą, zebrał się rychło, uchwycił coś szybko w zanadrze, wziął z czemś szklankę i zawołał: Źle nieboże, trzeba się kwapić, a nie żałuj na furę, Naumie Semenoński. Nie, mnie przejść się nie zaszkodzi, ale kwapić się trzeba.

Naum furę wynajął i pojechali czemprędzéj do domu. Cyrulik oglądnąwszy Marusię, cmuknął językiem, zaczął się wypytywać, gdzie i jak ją boli? — ale ona, kaszląc, słowa wymówić nie może. Cyrulik pokręcił głową i powiedział: obawa! źle... Naum załamał ręce. Cyrulik odwiązał flaszkę z pośpiechem i przyłożył jéj pijawki do boku.

Naum, biedaczysko,, nie wie, co robić, ani żywy, ani umarły, załamuje ręce wzdychając, a smuciło go to najwięcéj, że cyrulik był smutny.

Naścia — biedna Naścia, pomaga gdzie nieco koło Marusi i robi co może. W niedoli zapomnisz o wszystkiem, co cię gnębi.

Cyrulik wyszedł do sieni, zrobiwszy co mógł i umiał. Naum zaczął go wypytywać, ale cyrulik odpowiadał: „źle“. Wtedy rzucił mu się Naum do nóg, a płacząc mówił: Przyjacielu mój! Kondracie Iwanowiczu! rób co chcesz i co możesz, ale ratuj dziecię moje! nie zagrzebaj mnie w grobie żywcem! życie całe nazywać cię będę ojcem swoim! zabieraj co chcesz, ale wylecz mi Marusię!

— Przyjacielu mój, Naumie Semenowiczu! jeżeli już taka wola boża — trudno. I mnie żal twojéj Marusi! a tu nasz brat nawet z dziesięciu głowami nic nie pomoże!...

— Czy nie ma już życia dla mojéj Marusi?

— Jeden Bóg wie, odpowiedział cyrulik i poszedł do choréj.

Popatrzywszy na nią i puls zbadawszy powiedział: Módl się Semenowiczu, a jeżeli zaśnie już nie ma się czem troszczyć. I odstąpili ją wszyscy, aby jéj we śnie nie przeszkodzić. Ale trudno! zaledwie drzemać zaczęła, zaczął ją męczyć kaszel, podnosi się ku piersiom i nie daje jéj oddychać i w boku kłuć zaczęło.

Wieleby opowiadać, jak się biedaczka przez trzy dni męczyła. Leczył ją cyrulik, przywoził Niemca, przykładał maść do boku i kto wie co tam robił — Marusi nic się nie polepszyło, ale zawsze było gorzéj.

Naum pozwalał im robić, co tylko chcieli i nieraz się zamknąwszy, upadnie na kolana, łamie ręce. a uderzywszy pokłon, leży prawie pół godziny modląc się: „Panie Boże miłościwy! nie bierz od nas pociechy naszéj! zabierz mi wszelki dobytek, zabierz mię starego do siebie, niech ona pożyje na świecie!... Niech się dzieje wola Twoja ze mną grzesznikiem! Ty wiesz wszystko i robisz lepiéj, niż my grzeszni myślimy!“

Przystąpi do Niemca, prosi, a całując go w rękę wyniósł skrzynkę z pieniędzmi, w któréj było z trzysta rubli i mówi: Bierz ile chcesz! zabierz cały dobytek, zostanę bez niczego, tylko wylecz jedyne dziecię moje.... na co mi bez niéj żyć na świecie? bez niéj, nie masz dla mnie pociechy, któż mnie doglądnie w starości?... kto....

I chociaż Niemiec, zapłakał, nie wziąwszy ani kopiejki. Będąc ostatnim razem, robił co mógł, ale nic nie pomogło. Nic nie można zrobić powiedział i z tem odjechał.

Modlił się stary Naum, zalewając się łzami.

Wyszedł z komnaty, popatrzył na Marusię i zobaczył, że ona jak ta świeca dogorywa, przeżegnał się i pomyślał: Panie! niech się Twoja dzieje wola święta! Przebacz nam grzesznym i naucz nas, co robić mamy i jak Cię słuchać?

Poszedł do księdza a idąc, nie widział za łzami świata bożego.

Ksiądz się zdziwił niemało, że taka zdrowa dziewczyna, trzy dni chorując, już jest bliską końca.

Nim ksiądz przyszedł ze świętemi Sakramentami, wrócił Naum powstrzymał się od łez i powiedział: Doniu moja! zapreczystymo*) tebe, może ci Pan Bóg rychléj powróci zdrowie.

— Chciałam was... o to prosić, ale.... obawiałam się..., ażeby.... was nie... zmartwić!... Gdzie mnie już do... zdrowia.... chyba tylko zbawienia.... duszy.... aby tylko prędzéj!... ledwie powiedziała Marusia.

Naścia zaczęła chatę przystrajać, ojciec zaświecił świecę i zakadził ładanem**), przyszedł ksiądz ze świętymi Sakramentami. Jak długo się Marusia spowiadała, Naum i Naścia i wszyscy, którzy byli z sąsiadów, siedzieli w sieni.

— Na co ty stary ją tak nastraszył, mówi Naścia do Nauma. Pomyśli sobie teraz biedaczka, że już musi umrzeć, jeżeliśmy księdza przyprowadzili.

— Cóż stara poczniemy, opowiedział Naum głęboko westchnąwszy, a jakżeżby to było, gdyby ona umarła bez spowiedzi?

— Co ty stary pleciesz? gdzie jéj tam jeszcze umierać... dopiero dzisiaj czwarty dzień jak zachorowała.

---

*) Zakomunikujemy.
**) Ładan, kadzidło.

— Aha! czwarty. Wszystko stać się może u Boga. Jeżeli rozkaże. to ja jeszcze prędzéj umrę niż ona, odpowiedział Naum, a westchnąwszy zapłakał i szeptał cichutko: O gdyby to Pan Bóg dał mi tę łaskę! Niech się dzieje wola Twoja!...

Tu ksiądz zawołał obecnych do chaty, gdyż miał już chorą komunikować. Naum ledwie żywy, jeszcze ją podnieść zdołał do komunii świętéj. Marusia przyjąwszy święte Sakramenta położyła się znowu, przeżegnała się, podniosła oczy ku niebu i tak mówiła: Jeżeli taka... radość.... w sercu mojem po... komunii... świętéj.. jakaż to będzie radość w królestwie... niebieskiem?... Panie! przyjmij mnie... do królestwa swego...

Ksiądz posiedział trochę, pogawędził i odszedł.

Niebawem spostrzegli. że kaszel ustał, Marusia już nie stęka, niby śpi, ale zaczęło w gardle chrapać, a w piersiach ozwało się charczenie.

— Dalibóg! ona nie umrze, mówi Naścia do starego, uważasz, jéj już się znacznie polepszyło.

— Módl się, odpowiedział Naum płacząc. Teraz aniołowie święci nad nią latają. Straszna to wtedy chwila, kiedy sprawiedliwa dusza kończy. Nam grzesznym wtedy tylko modlić się trzeba.

— Boże, ty się sam boisz, i mnie straszysz odpowiedziała Naścia, nie przewidując nieszczęścia swojego.

Naum wiedział. że już się zbliża koniec żywota jego córki, zaświecił gromicę, postawił przed obrazami, poszedł do komnaty i modlił się gorąco do Boga...

Gdzie on téż nie obiecał iść na odpusty? ile jałmużny i ofiar obiecał dać ubogim i do cerkwi?

Tu Marusia zawołała: Tatusiu! matusiu! chodźcie do mnie...

Zbliżyli się do łoża. Naum widzi, że Marusia zmieniła się zupełnie, liczko jéj poczerwieniało jak zorza przed słoneczka wschodem, oczy błyszczały a twarz dziwnym jaśniała blaskiem. Już wiedział, że niebawem skończy się wszystko, wstrząsł się, pokrzepił serce modlitwą, łzy połyka i mówi w duchu: Już czas... Panie! nie opuszczaj mnie!...

— Tatusiu! mamusiu moja ridneńka! przebaczcie mnie grzesznéj... — zaczęła mówić Marusia — pożegnamy się... na tym świecie... ale zobaczymy... się znowu... razem w królestwie... niebieskiem... Tu zaczęła im ręce całować, — starzy mało się we łzach nie rozpłyną płacząc, i całując konające dziecię.

I znowu zaczęła mówić wesoło, z uśmiechem na ustach.

— Bóg wam zapłać... za to, żeście mnie... kochali... przebaczcie mi... możem was kiedy... nie posłuchała... albo... rozgniewała.... Mnie już Bóg grzechy... i wy... odpuście... nie rozpaczajcie za mną... bo to... grzech... pamiętajcie o mojéj... grzesznéj... duszy... nie... wszystko ziemia i pył, nie płaczcie, nie... płaczcie... popatrzcie... jaka... ja wesoła... tam mi... będzie... błogo... kiedykolwiek... umrzeć... trzeba... nie... długo... będziemy bez siebie a tam rok... chwilka... nie żałuję za... wami... nie długo się zobaczymy... Jeżeli zobaczycie... Wasy... Wasyleczka mego... powiedzcie mu... aby nie rozpaczał... kochałam... go... bardzo... gdy umrę... dajcie mi... orzeszki... moje... w rękę... a chusteczkę jemu oddajcie... a gdzież... wy... nie widzę... was... tatusiu... czytaj mi głośno... modlitwy... a ty matusiu... żegnaj... mnie... pobłogosławcie... mnie...

Naum zaczął czytać modlitwy, ale Marusia nie mogła już za nim, ani słówka przemówić — stary co słowo przeczyta, zaleje się łzami — płacze i znowu czyta. Naścia przeżegnała się dwa razy, zemdlała i upadła. Sąsiadka dała do rąk świecę Marusi... już rozdzierała palce, które stygnąć zaczynały. Naum pochylił się nad uchem Marusi i mówił głośno: Wiruju wo jedynoho Boha i Bohorodyciu... aż tu ona jeszcze oczy otworzyła i głośno powiedziała: czy słyszycie... co to takiego?...

Naum upadł na kolana i mówi: módlcie się wszyscy! aniołowie przylecieli po jéj duszę.

Czy widzicie? — rzekła znowu Marusia — ale znowu umilkła — westchnęła ciężko... Matko Boża! przyjmij... i zasnęła na wieki!... (C. d. n.)

OPUSZCZONA.

Wiersz z rękopisu królodworskiego w narzeczach słowiańskich.

Po staroczesku.

Opuščena.

Ach vy lesi, tmavi lesi,
lesi miletinšti!
Čemu vy sě zelenáte
v zimě, letě rovno?
Rada bych jáz neplakała,
nemutila srdce:
a rěkněte dobri ludie,
kto by neplakal zdě?
Kdě mój otčik, otčik milý? —
Zahrěben v rovečce.
Kdě moje máti, dobrá máti?
Trávka na niej roste.
Ni mi bratra, ni me sestry, —
Junošu mi vzechu.

Po polsku.

Opuszczona.

Ach wy lasy, ćmawe lasy,
Milecińskie lasy!
Czemuż się liściem śmiejecie
w zimie i lecie?
Chcę sercu wzdychać zabronić,
oczom łez ronić;
jak tu nie płakać sierocie
w takiéj tęsknocie?
Gdzieś ojcze, gdzieś ojcze miły?
w głębi mogiły.
Gdzieś matko, wołam z żałobą,
trawka nad tobą;
bracia i siostry wymarli,
kochanka wydarli.

(Tłumaczył Siemieński.)

Po łużycku.

Wopuszćena.

Ach wy liesy, ćmowe liesy,
liesy milećinske!
Czemu wy so zeleniće
W zymje, lieće runje?
Rada bych ja njepłakała,
njerudźiła duszu:
Ale rjekće, dobri ludźo,
sztó by njepłakał tu?
Hdźe mój nanik, nanik dobry? —
Zahrjebany w rowczcy.
Hdźe mać moja, dobra maćer?
Trawka na njej rosće.
Nimam bratra, nimam sotry,
Pachoła mi wzachu.

(Tł. Smoler.)

Po rusińsku.

Liszena.

Oj, wy liesy, tiemne liesy,
Liesy miletinski!
Czom wy sja zeleniejetie
W zimie, lietie rowno?
Rada bych ja nje płakała,
Nje nudiła śercjom;
Tak skażitjeż, dobri ludje,
Chtob nje płakał źdje?
Dje mój batjko, batjko milyj?
Zagrjeblen w jamońcie.
Dje moja mati, dobra mati?
Trawow narostaje.
Ni mi brata, ni śestricie,
Ładina mi wziali.

Po rosyjsku.

Sirota.

Ach liesa, liesa wy tjomnyje,
Wy liesa-li Miletinskije!
Czto, liesa, wy zeleniejetje
W lieto, w zimu odinakowo?
Rada, rada-b ja nje płakała,
Nje mutiła by śerdjeczuszka:
Da skażitje, ludi dobryje,
Kto, skażitje, nie zapłaczet zdieś?
Gdie moj batjuszka, rodimyj mój?
W matj-źemlie zaryt leżit!
Gdie moja rodnaja matuszka?
I nad njeju trawka wyrosła!
Niet ni brata, ni śestricy niet!
Miła-druga ludi otnjali.

(Tł. Berg.)

Po serbsku.

Sirota.

Oj wi szume, guste szume,
Miletińske szume!
Zaszto s' szume zelenite
Zimi i po letu?
Rada bich ja ne plakala
Srce ne smutila,
Al recite, dobri ljudi,
Ko ne bi zaplako:
De moj babo, babo mili?
U grobu mi leży.
De mi majka, dobra majka?
Trawa na njoj raste!
Nemam brata, ni sestrice,
Wojna mi uzeli.

(Tł. S. Zlatojewić.)

Po chorwacku.

Ostawljena.

Oj wi szume, tmaste szume,
Szume Miletinske!
Czemu se wi zelenite
Lietom, zimom rawno?
Ja bih rada neplakala,
Nemutila serdca;
Każite mi, dobri ljudi,
Kto neb' plakao owdie?
Gdie j' moj otac, mili otac?
Pogreben u grobu.
Gdie j' ma mati, dobra mati?
Trawa na njoj raste.
Nejmam brata, nejmam sestre, —
Dragog mi otimlju.

(Tł. J. Berlić.)

Po słoweńsku (korutańsku.)

Zapuszena.

Oh, wi logi, temni logi
Logi miletinski!
Czemu wi se zelenite
W zimi ko po leti?
Rada bi se neplakala,
Nemorila serca;
Al powejte, dobri ljudje,
Kdo bi se neplakal?
Kje je moj preljubi ocze?
Zakopan je w grobi!
Kje je mati, dobra mati?
Trawa po nji raste!
Nimam bratra, nimam sestre,
Ljubiga mi wzeli!

Po bulgarsku.

Sirota.

Ach ty goro, temna goro,
Goro miletinska!
Zaszczo ty se zeleniejesz
Zimie lietie jedno?

Rada bych az da ne placząm,
Srdce da ne krsząm;
Al rieczete, ljudi dobri,
Koj by tuk ne plakał.
Gdie moj tatko — tatko mili?
Zakopan je w zemją.
Gdie nad manka — mila manka?
Drebna trawa raste.
Nemam brata, niti sestra,
Milo momcze wzechą.

Wasyl Stepanowicz Kulik.

Rys biograficzny.

Z rusińskiego przełożył Bohdan.

(Dokończenie.)

Z prac Kulika wypada zwrócić uwagę na wyborną epistołę do pani L. W. K-skiéj, najszanowniejszéj Polki z połtawskiego nielicznego polskiego towarzystwa. Epistoła ta pamiętam poczynała się w te słowa:

„Pytajełeś pani,
Czoho ja żurusa,
Z wesełoi chaty,
Do domu płetusa.
Ne myni do pary
Oczeniata kari,
I ne do lubowi
Myni czorni browi....“

W późniejszych już latach napisał Kulik wodewil z życia ukraińskiego i czytał go mnie, i jednemu z naszych uczonych. O ile pamiętam obfitował on w życie sceniczne i nie przymuszony kozacki dowcip. Żałuje bardzo, że nie wyprosiłem wtenczas rękopisu u autora — później nie mogłem już nigdzie dopytać się o niego.

Dodam tu jeszcze strofkę z wiersza Wasyla „Ukraina do synów“ („Osnowa“ 1861 r. strona 40), ktora była wymazaną przez petersburgską cenzurę. Po słowach „te szczo snyt'sa, kołyś może i prawdoju stane“ on mówi:

„Ruki szczyro brat bratowi
Podadut' Sławjane;
Tode błysne nasza zora
Z sławiańskoho neba,
A do toho ....“

Kulik nie miał naukowéj erudycyi — z nauk gruntownie znał tylko botanikę, w któréj kochał się bardzo i marzył sobie wydać kiedyś botanikę popularną, do któréj zbierał bardzo pilno nasze narodowe nazwy roślin. Widziałem u niego duży taki zbiór, ale i ta praca gdzieś zaginęła.

Zajmowała go także historya, pracował nad nią wiele z zapałem i miał na niektóre historyczne epoki poglądy swoje oryginalne, choć mające może więcéj poetyczne, jak naukowe podstawy. Tak np. w naszéj kozackiéj epoce widział on zawiązek słowiańskiéj republiki i słowa Napoleona I, że za lat sto Europa będzie „republique ou cosaque“ on żartem przerabiał tak: pomylił się Napoleon, bo nie znał naszéj historyi, powinien był powiedzieć: „republique et cosaque.“ Z słowiańskich narodów, Wasyl po swoim najlepiéj lubił Serbów — spostrzegał w ich przeszłości pewne podobieństwo do naszéj przeszłości kozaczéj. Widział nadto siłę, która tak koniecznie potrzebną nam jest do przeprowadzenia słowiańskiéj idei.

Kiedy przysłano do Połtawy Łukę Wukałowicza na mieszkanie, Kulik od jednego z jego towarzyszy uczył się serbskiego języka, mając zamiar przekładać potem niektóre z serbskich poetycznych utworów. Moskiewskim porywom do swobody, ba! czasem i do rewolucyi wprost nie dawał wiary — i można powiedzieć, że w poglądach na moskiewski naród, dochodził do ostateczności. W zapale często wyrwały mu się słowa, że „głowa moskiewska nie zdolna jest pojąć sprawiedliwéj politycznéj swobody; że Moskwa nie jest pomocą, lecz zaporą do rozwoju Słowiańszczyzny; że Moskwa nie potrafi nigdy zrzec się historycznych swoich tradycyi, a te nie pozwolą jéj nigdy widzieć w drugich Słowianach równych braci, a tylko protegowanych poddanych“ i. t. d. Lubił także przedrwiwać rossyjskich zapalonych liberałów, którzy zjeżdżali się ze stolic na Ukrainę. „Ot zobaczycie — ci stoliczni Itenki Raziny, z pince-nez na nosie, za dwa, za trzy lata przerobią się na takich konserwatystów, że śmiało będzie ich można postawić obok z „hosudarewimi ludziskami świętéj pamięci cara Aleksija.“

Chociaż w tém wszystkiém widzimy tylko skrajny zapał i jednostronność, ale — nie można powiedzieć aby część jego przeczuć, nie sprawdziła się już za naszéj pamięci.

Z francuskich poetów lubił Kulik najlepiéj Berangera i Barbego, z niemieckich — Heinego, którego znał tylko z rosyjskich przekładów.

Z teoryą poezyi Kulik znał się mało, pisał tak, jak nalatało do duszy. Dałem mu raz dzieło p. Tulowa „o rodach i widach poezyi,“ ale nie znalazł w niem interesu, i wszystkie swoje teoryczne idee wyrażał w téj myśli, że naszemu poecie potrzeba: trzymać się formy narodnich pieśni, i wkładać w nie narodowe uczucia, myśli i obrazy.

Co do formy to podług nas Kulika wiersz zawsze lekki i pełen gracyi, bogaty był w melodye i płynął jak muzyka, bez wszelkiego przymusu i pracy, jak na przykład „w Wesełyj udowi“ i „Zahublennych duszach.“

Redaktor J. Chociszewski w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem F. Chocieszyńskiego w Poznaniu.